

Emil Zola

ATAK NA MŁYN

1

W ten piękny letni wieczór młyn starego Merlier przybrał odświętny wygląd. Na podwórzu trzy zestawione razem stoły czekały nakryte na gości. Wszyscy w okolicy wiedzieli, iż tego dnia mają się odbyć zaręczyny córki młynarza, Franciszki, z Dominikiem, chłopakiem, któremu zarzucano wprawdzie próżniactwo, ale tak był przystojny, że na jego widok wszystkim kobietom w promieniu trzech mil błyszczały oczy.

Młyn starego Merlier wyglądał jak sama radość. Znajdował się akurat w środku Rocreuse, w miejscu, gdzie gościniec tworzy zakręt. Wieś ma tylko jedną ulicę, ujętą w dwa szeregi chałup; lecz tam, przy zakręcie, łąki rozpościerają się szeroko, a wyniosłe drzewa rosnące wzdłuż nurtu Moreli rzucają na dolinę hojny cień. W całej Lotaryngii nie znajdziesz bardziej rozkosznego zakątka. Na lewo i na prawo wysokopienne lasy, gęste bory wspinają się po łagodnych zboczach, wypełniają widnokrąg morzem zieloności, na południe zaś ciągnie się cudownie urodzajna równina roztaczając w bezkres poletka poprzecinane żywopłotami. Największym jednak urokiem Rocreuse jest chłód, jaki daje owa obfitość zieleni w skwarne dni lipca i sierpnia. Morela spływa z lasów Gagny i zdaje się, jakby ten chłód czerpała z listowia, pod którym toczy się całymi milami, niosąc z sobą szmery i szelesty, lodowaty, skondensowany cień lasów. Nie ona jedna dostarcza ochłody: wszelakiego rodzaju zdroje gwarzą wśród drzew, co krok tryska źródło. Gdy idziesz wąskimi ścieżkami, czujesz, jakby podziemne jeziora przebijały się przez mech, korzystając z najmniejszych szczelin u stóp drzew i między skałami, by rozlać się kryształową krynica. Szepty i pluski strumyków są tak mnogie i głośnie, że zagłuszają śpiew gilów. Zda się, że to park zaczarowany, gdzie ze wszystkich stron biją kaskady. Łąki w dolinie nasycone są wilgocią. Olbrzymie kasztany rzucają tu mroczny cień. Na skraju łągu ustawione szeregiem topole zlewają się w jedną szeleszczącą kotarę. Dwie aleje wysadzone potężnymi platanami pną się przez pola ku ruinom zamku Gagny. Na tej ziemi nieustan – nie zraszanej rosną trawy nadzwyczaj wybujałe. Jest to jak gdyby kwietny ogród między dwoma zadrzewionymi stokami, ogród naturalny, gdzie trawnikami są łąki, a korony rozrosłych drzew kolosalnymi klombami. W południe, gdy promienie słoneczne padają prawie prostopadłe, cienie błękitnieją, a rozpalone trawy drzemią w upale, pod listowiem przebiega lodowaty dreszcz.

W tym właśnie miejscu młyn starego Merlier rozweselał swym terkotem zakątek bujnej zieleni. Budowla, sklecona z gipsu i drzewa, wydawała się stara jak świat. Podmywały ją do

połowy wody Moreli, rozlewające się tutaj w przejrzysty basen. Spiętrzona służą woda spadała z wysokości kilku metrów na młyńskie koło, które obracało się z trzeszczeniem przypominającym astmatyczny kaszel starej, wiernej służącej. Gdy radzono młynarzowi, by je zmienił, potrząsał głową, mówiąc, że nowe koło byłoby bardziej leniwe i nie znalazłoby się tak dobrze na robocie. I łatał starowinę, czym się dało: klepką beczkową, zardzewiałym żelastwem, cynkiem, ołowiem. A koło, którego profil wyglądał coraz dziwniej, obracało się jakby weselsze w swym pióropuszu z zielska i mchu. Gdy woda spadała na nie srebrzystym strumieniem, okrywało się perłami, a spod tej mieniącej się tęczowo szaty przebierał jego cudaczny szkielet.

Część młyna zanurzona w Moreli wyglądała niby arka pierwotna, osiadła na mieliźnie. Więcej niż połowa domostwa zbudowana była na palach. Woda podchodziła pod samą podłogę; w dziurach, dobrze znanych całej okolicy, łowiono węgorze i ogromne raki. Poniżej wodospadu toń miała przejrzystość zwierciadła, a gdy nie mąciła jej spadająca z koła piana, widać było ławice wielkich ryb, powolne w ruchach niby eskadra. Sfatygowane schodki prowadziły do rzeki nie opodal pola, gdzie przywiązana była barka. Ponad kołem młyńskim biegła drewniana galeryjka. Wychodzące na tę stronę okna rozmieszczone były nieregularnie. Labirynt zakamarków, przymurków i dobudówek, belek i daszków nadawał młynowi wygląd starej, na poły zburzonej forteczki. Ale bluszcze i rozmaite inne pnące rośliny zasłaniały co większe szczyby i okrywały stare domostwo zielonym płaszczem. Przebywające w tych stronach panienki rysowały w swych albumach młyn starego Merlier. Od strony drogi dom zbudowany był solidniej. Przez kamienną bramę wchodziło się na obszerne podwórze, otoczone z lewej z prawej szopami i stajniami. Ogromny wiąz obok studni osłaniał swym cieniem połowę podwórza. W głębi widniał dom z czterema oknami pierwszego piętra, nad którym górował gołębnik. Jedyne próżność starego Merlier polegała na tym, że raz na dziesięć lat nakazywał wypędzować tę fasadę. Była właśnie świeżo pobielona i kiedy południowe słońce świeciło wprost na nią, olśniewała całą wieś.

Od dwudziestu lat stary Merlier był merem Rocreuse. Cieszył się poważaniem dla majątku, który potrafił zgromadzić. Szacowano go na jakieś osiemdziesiąt tysięcy franków, ciułych grosz do grosza. Zaślubiając Magdaleny Guillard, która ten młyn wniosła mu w posagu, nie miał nic, tylko dwoje rąk do roboty. Ale tak dzielnie umiał gospodarzyć, że Magdalena nigdy nie żałowała swego wyboru. Teraz był wdowcem, pozostała mu tylko córka, Franusia. Bogiem a prawdą mógłby już odpocząć, pozwolić, by młyńskie koło omszało w bezruchu, przykrzyłoby mu się jednak, a dom zdawałby się wymarły. Pracował więc dalej dla czystej przyjemności. Merlier był w owym czasie wysokim, milczącym starcem o pociągłym obliczu. Nigdy się nie śmiał, lecz miał w sobie wiele wewnętrznej pogody. Wybrano go na mera z racji majątku, a także z uwagi na pełną godności minę, jaką umiał przybrać, kiedy dawał ślub.

Franciszka Merlier skończyła właśnie osiemnaście lat. Jako że była wątłej budowy, nie uchodziła za jedną z tutejszych piękności. Do piętnastego roku życia była nawet brzydka. Nikt w Rocreuse nie mógł pojąć, dlaczego córka takich rodziców – oboje Merlier byli rośli – rozwija się marnie i mizernie wygląda. Gdy osiągnęła piętnasty rok życia, chociaż nadal delikatna, nabrała prześlicznych kształtów. Miała krucze włosy, czarne oczy, a przy tym była różowitka. Buzia zawsze uśmiechnięta, dołki w policzkach, jasne czoło, jakby promieniejące słońcem. Szczupła jak na tutejsze gusta, bynajmniej nie była chuda; tyle tylko, że nie mogłaby dźwignąć worka ze zbożem. Z wiekiem stawała się coraz pulchniejsza, zapowiadała się na dziewczę okrągłutkie i smakowite jak przepióreczka. Milczące usposobienie ojca sprawiło jednak, że nawet we wczesnej młodości nie była trzpiotką. Jeżeli uśmiechała się stale, to po to, by innym zrobić przyjemność. W gruncie rzeczy była poważna. Łatwo zrozumieć, że wszyscy naokoło zalecali się do niej, więcej jeszcze dla jej fortuny niż dla wdzięków. Wybór, którego wreszcie dokonała, wywołał zgorznienie w całej okolicy. Po drugiej stronie Moreli mieszkał młodzieniec nazwiskiem Dominik Pen-quer. Nie pochodził z Rocreuse. Dziesięć lat temu przybył z Belgii, by objąć w spadku po wuju małą gospodarkę na skraju lasu Gagny, położoną wprost młyna, na odległość kilku strzałów. Przyjechał, by sprzedać tę posiadłość, jak mówił, i wrócić do siebie. Okolica musiała go jednak oczarować, bo już się stąd nie ruszył. Widziano, jak uprawiał swój zagon i zbierał jarzyny, którymi się żywił. Łowił ryby, polował, mało brakowało, a nieraz gajowi przyłapałiby go i spisali protokół. Tutejsi chłopcy nie bardzo wiedzieli, na jakich zasobach opiera swą niczym nie skrępowaną egzystencję, co w rezultacie urobiło mu złą opinię. Podejrzewano, że zajmuje się kłusownictwem. W każdym razie był próżniakiem, bo często widywano, jak spał na łące w porze, kiedy powinien był pracować. Także rudera, w której mieszkał pod lasem, nie wyglądała na domostwo porządnego człowieka. Wcale by się nie zdziwiły stare babska, gdyby miał konszachty z wilkami gnieźdzącymi się w ruinach zamku Gagny. Jednakże dziewczęta odważały się niekiedy brać w obronę podejrzanego młodziana, ponieważ był nad podziw dorodny: smukły, wysoki jak topola, miał bardzo białą cerę, jasną brodę i włosy, które w słońcu mieniły się złotem. I oto pewnego ranka Franusia oświadczyła ojcu, że kocha Dominika i nigdy nie zgodzi się wyjść za innego.

Można sobie wyobrazić, że starego Merlier jakby kto pałką po głowie zdzielił. Swoim zwyczajem nie rzekł ni słowa. Miał jak zawsze twarz skupioną, tylko oczy nie błyszczały już tą jego wewnętrzną pogodą. Dąsali się na siebie przez tydzień. Franka również była bardzo poważna. Najwięcej dręczyło młynarza, jakim cudem ten hultaj kłusownik potrafił zbałamucić mu córkę: nigdy przecież nie był w młynie. Merlier zaczął się i wypatrzył galanta na drugim brzegu Moreli, jak leżąc w trawie, udawał, że śpi. Franka mogła go widzieć ze swego pokoju. Było jasne: musieli się zakochać robiąc do siebie słodkie oczy ponad młyńskim kołem.

Upłynął następny tydzień. Franusia stawała się coraz poważniejsza. Stary Merlier nadal się

nie odzywał. Aż pewnego wieczora, bez słowa, sam przyprowadził Dominika. Franka nakry – wała właśnie do stołu. Nie wydawała się zdziwiona, dodała po prostu jedno nakrycie, tylko dołki ukazały się znowu na jej policzkach, które okraślił dawny uśmiech. Rankiem stary Merlier wybrał się był do rudery Dominika stojącej na skraju lasu. Rozmawiali przez trzy godziny przy zamkniętych drzwiach i oknach. Nikt nie dowiedział się nigdy, co mogli byli sobie powiedzieć. Jedno tylko jest pewne, że wychodząc Merlier traktował już Dominika jak syna. Widocznie stary przekonał się, że w tym próżniaku, wylegającym się na łące, by zawracać w głowie dziewczętom, tkwi przyzwoity chłopak.

Cała wieś plotkowała. Na progach domów kobiety nie przestawały gadać o szaleństwie starego, który brał pod swój dach nicponia. Merlier puszczał to mimo uszu. Przypomniawszy sobie może własne małżeństwo. On także nie miał złamanego grosza, gdy poślubił Magdalenę i jej młyn, a nie przeszkodziło mu to przecież być dobrym mężem. Zresztą Dominik sam zamknął usta plotce, zabierając się do roboty tak dziarsko, że cała okolica nie mogła wyjść z podziwu. Właśnie pomocnik młynarski powołany został do wojska i Dominik za nic nie chciał się zgodzić, aby przyjęto do służby innego. Dźwigał wory, furmanił, mocował się ze starym kołem, kiedy trzeba je było prosić, aby się kręciło; wszystko to robił z takim zapałem, że ludzie dla przyjemności przychodzili nań popatrzeć. Merlier uśmiechał się w milczeniu, dumny, że poznał się na chłopaku. Bo też nic tak jak miłość nie dodaje energii młodym ludziom.

W kołowrocie ciężkiej pracy Franka i Dominik uwielbiali się. Nie rozmawiali z sobą wcale, tylko spoglądali na siebie uśmiechnięci, oczyma pełnymi słodyczy. Dotychczas Merlier nie wspomniawszy słowem o małżeństwie; oboje szanowali jego milczenie czekając, aż wyrazi swą wolę. I oto pewnego dnia, gdzieś w połowie lipca, kazał nakryć trzy stoły na podwórzu, pod wielkim wiązem, i zaprosił przyjaciół z Rocreuse, by przyszli wieczorem na szklankę wina. Gdy podwórze zapełniło się, a każdy miał w ręku szklanicę, stary Merlier wznosił swą wysoko i rzekł:

– A więc mam przyjemność oznajmić wam, że za miesiąc, na świętego Ludwika, Franciszka zaślubi tego oto zucha.

W odpowiedzi hałaśliwie trącano się szklankami, rozległy się śmiechy. Lecz Merlier podnosząc głos dorzucił: – Dominiku, pocałuj swoją narzeczoną. Tak się należy. Pocałowali się, splótnieni, wśród donośnego śmiechu zebranych.

Było to prawdziwe święto. Wyszuszone całą beczułkę. A kiedy zostali już tylko najbliżsi przyjaciele, gawędzono w spokoju. Zapadła noc, gwiazdzista i bardzo jasna. Dominik i Franusia w milczeniu siedzieli obok siebie na ławce. Jakiś stary wieśniak prawił o wojnie, którą cesarz wypowiedział Prusom. Wszystkich młodych ze wsi już zabrano. Wczoraj znowu przechodziło wojsko. Będzie z tego sroga bijatyka. W starym młynarzu odezwał się egoizm człowieka szczęśliwego:

– Cóż! Dominik jest cudzoziemcem, nie wezmą go... Gdyby zaś przyszli Prusacy, zostanie na

miejscu, by bronić swej żony.

Sama myśl, że Prusacy mogliby przyjść, wydawała się po prostu żartem. Dostaną solidne lanie i na tym się skończy.

– Widziałem już ich, widziałem... – powtarzał stary wieśniak.

Zapadło milczenie. Potem trącono się raz jeszcze. Franusia i Dominik nie słyszeli niczego; wzięli się delikatnie za ręce, z tyłu ławki, tak aby nikt ich nie widział, i siedzieli z oczami utkwionymi w mrok. Było im tak dobrze!

Co za wspaniała, ciepła noc! Po obu stronach białej drogi wieś zasypiała spokojnym snem dziecka. Słysząc było tylko z rzadka pianie zbudzonego przedwcześnie koguta. Głębokie tchnienie pobliskich lasów spływało na dachy łagodną pieśczęcią. Łąki, pogrążone w cieniu, nabierały tajemniczej, skupionej dostojności, wszystkie zaś źródła, wszystkie strumienie pluskające w pomroce były jakby rześkim, rytmicznym oddechem uśpionej natury. Chwilami sędziwe koło młyńskie zdawało się bredzić przez sen jak stare psy podwórzowe, co chrapiąc szczekają; skrzypiało, gwarzyło, kołysane przez wodospad, którego szeroka struga wydawała przeciągły dźwięk piszczałki organowej. Nie było na świecie szczęśliwszego zakątka, pogrążonego w równie głębokim spokoju.

2

Dokładnie miesiąc później, w wigilię świętego Ludwika, trwoga padła na Rocreuse. Prusacy pobili cesarza i zbliżali się forsownym marszem. Od tygodnia ludzie przejeżdżający gościńcem zapowiadali ich nadejście: – Są w Lormière! Już są w Novelles!

Pod wpływem wieści o szybkim posuwaniu się wroga mieszkańcom Rocreuse zdawało się co ranka, że widzą już Prusaków wchodzących przez lasy Gagny. Nie przybywali jednak, co jeszcze większy wzbudzało strach: na pewno wpadną do wsi nocą i wyrzną całą ludność.

Ostatniej nocy, krótko przed świtaniem, podniesiono alarm. Zbudził wszystkich wielki ruch na drodze. Kobiety padały już na kolana robiąc znak krzyża, gdy przez uchylone ostrożnie okna rozpoznano czerwone spodnie żołnierzy. Był to oddział francuski. Kapitan od razu wezwał mera, rozmówił się ze starym Merlier i pozostał w młynie.

Słońce wschodziło tego dnia wesoło. Zapowiadał się upał. Nad lasami stała złocista poświata, niżej zaś, z łąk, unosiły się mleczne opary. Wioska, urocza i schludna, budziła się pełna świeżości, a cała okolica, z rzeką i kryniami, miała wdzięk naręcza wilgotnych kwiatów. Ów piękny dzień nie radował jednak nikogo. Widziano, jak kapitan kręci się koło młyna, ogląda sąsiednie domy, przeprawia się na drugi brzeg Moreli i stamtąd przez lornetkę obserwuje teren. Zdawało się, że Merlier, który mu towarzyszył, coś tam wyjaśnia i tłumaczy. Potem kapitan rozstawił żołnierzy pod osłoną murów, za drzewami, w dołach. Większość oddziału rozłożyła się

obożem na podwórku młynarza. Czyżby zanosilo się na bitwę? Gdy Merlier wrócił, zasypano go pytaniami. Nic nie mówiąc skinął głową. A więc tak, będzie bitwa.

Franciszka i Dominik, którzy również byli na podwórzu, patrzyli na niego pytająco. Wyjął wreszcie fajkę z ust i powiedział zwyczajnie:

– Biedne moje dzieciaki, nie wyprawię ja wam jutro wesela. Dominik miał zaciśnięte usta, zmarszczone gniewem czoło; od

czasu do czasu wyciągał szyję i wlepił wzrok w lasy Gagny, jakby chciał zobaczyć nadchodzących Prusaków. Franka, blada i poważna, krzątała się przynosząc żołnierzom, co im było potrzebne. Gotowali zupę w kącie podwórza i dowcipkowali czekając na posiłek.

Tymczasem kapitan zdawał się być zachwycony. Obejrzał pokoje w młynie i wielką izbę, której okna wychodziły na rzekę. Teraz siedział przy studni, rozmawiając ze starym Merlier. – Macie tu prawdziwą fortecę – powiedział. – Utrzymamy się aż do wieczora... Bandy ci spóźniają się. Powinni już tu być.

Merlier miał twarz chmurną. Widział już swój młyn płonący jak pochodnia. Ale nie skarżył się, wiedząc, że byłoby to bezcelowe. Rzucił tylko:

– Należałoby ukryć łódź za kołem młyńskim. Jest tam wgłębienie, w którym się mieści. Może być potrzebna...

Kapitan wydał rozkaz.

Był to dorodny mężczyzna około czterdziestki, wysoki, o miłej twarzy. Widok Franki i Dominika musiał mu sprawiać przyjemność. Interesował się nimi, jakby nie myślał o czekającej go walce. Wodził wzrokiem za Franusią, a mina jego wyraźnie zdradzała, że był nią oczarowany. Potem zwrócił się do Dominika, zadając mu znienacka pytanie:

– Cóż to, nie jesteś w wojsku, mój chłopcze?

– Jestem cudzoziemcem.

Ten argument niezbyt trafił do przekonania kapitanowi, który mrugnął tylko okiem i uśmiechnął się. Przyjemniej jest obsługiwać Franusię niż armatę. Widząc ten uśmiech, Dominik dodał:

– Jestem cudzoziemcem, ale trafiam w jabłko z pięciuset metrów... Proszę, moja strzelba myśliwska leży tam, za panem.

– Może ci się przydać – odparł kapitan.

Franka zbliżyła się, z lekka drżąca. Nie zważając na obecność obcych, Dominik ujął i uściśnął jej rękę, wyciągniętą ku niemu jakby w poszukiwaniu opieki. Kapitan znowu uśmiechnął się, ale nie wyrzekł słowa. Zapatrzonej w dal, siedział trzymając szpadę między nogami i zdawało się, że pogrążony jest w marzeniach.

Była już dziesiąta. Upał wzmagał się. Panowała ciężka cisza. Na podwórzu, w cieniu szop, żołnierze zabrali się do jedzenia zupy. Żadne odgłosy nie dochodziły ze wsi, której mieszkańcy

zabarykadowali drzwi i okna. Wył tylko jakiś samotny, pozostawiony na drodze pies. Z okolicznych lasów i łąk, omdlałych od spiekoty, płynęła daleka, przeciągła muzyka, złożona z tysiąca nieuchwytnych dźwięków. Zakukała kukułka. Potem cisza stała się jeszcze głębsza.

To drzemiące powietrze przeszył nagle strzał. Kapitan zerwał się na równe nogi, żołnierze rzucili talerze z nie dojeżdżoną zupą. W ciągu paru sekund wszyscy zajęli stanowiska bojowe. Młyn obsadzony był od góry do dołu. Jednakże kapitan, który wyskoczył na drogę, nie dostrzegł niczego; na lewo i na prawo ciągnął się gościniec, biały i pusty. Rozległ się drugi strzał i nadal nic, ani śladu. Lecz odwracając się w stronę Gagny, oficer dojrzał leciutki obłoczek dymu między dwoma drzewami, podobny do babiego lata. Bór czerniał nieprzenikniony i cichy.

– Łajdaki! Zaszyli się w lesie – mruknął. – Wiedzą, że jesteśmy tutaj.

Wywiązała się strzelanina, coraz gęstsza, pomiędzy rozstawionymi wokół młyna żołnierzami francuskimi a Prusakami, którzy kryli się za drzewa. Kule świstały ponad Morelą, nie wyrządzając szkody żadnej ze stron. Spoza krzaków padały nieregularne strzały i nadal widać było tylko małe dymki, lekko kołyszające się na wietrze. Trwało to prawie dwie godziny. Oficer nucił coś z obojętną miną. Franka i Dominik pozostali na podwórzu i wspinając się spoglądali poprzez murek. Przykuwał ich uwagę żołnierz, który zajął pozycję nad brzegiem Moreli, za wrakiem starej barki. Leżąc na brzuchu czatował, oddawał strzał, potem ześlizgiwał się w tył do rowu, by znów załadować karabin. Ruchy miał tak za-; bawne, tak przebiegłe, tak zwinne, że widząc go, trudno było powstrzymać uśmiech. Wypatrzył pewnie łeb jakiegoś Prusaka, bo szybko uniósł się i wymierzył. Nim jednak zdążył strzelić, krzyknął, przekoziółkował i stoczył się do rowu; jego nogi wyprężyły się konwulsyjnie jak łapki zarzynanej kury. Kula trafiła żołnierza w samą pierś. Był to pierwszy trup. Franka bezwiednie chwyciła rękę Dominika i ścisnęła ją kurczowo.

– Nie stójcie tak – rzekł kapitan. – Kule sięgają aż tutaj. Istotnie z korony starego wiązu doszedł suchy trzask i kawałek

gałęzi kołyszając się upadł na ziemię. Ale młodzi nie ruszyli się z miejsca, przykuci grozą widowiska. Na skraju lasu jakiś Prusak wysunął się nagle zza drzewa jak zza kulisy i bijąc rękami powietrze upadł na wznak. Wszystko zamarło w bezruchu, dwaj zabici zdawali się spać w pełnym słońcu, wśród ocieężałych pól nie widać było żywego ducha. Ustało nawet pykanie strzałów. Tylko Morela gadała swym klarownym szeptem.

Merlier spojrzął na kapitana zdziwiony, jakby pytając, czy to już po wszystkim. – Teraz się dopiero zacznie – mruknął oficer. – Ostrożnie, lepiej tu nie stójcie...

Nie zdążył skończyć, kiedy gruchnęła ogłuszająca salwa. Jakby kto kosą przejechał po wielkim wiązie, zawirowała chmara liści. Na szczęście Prusacy mierzyli za wysoko. Dominik pociągnął za sobą, uniósł niemal Franusie, a stary Merlier pośpieszył za nimi, wołając:

– Schowajcie się do piwniczki, tam mury są solidne!

Ale nie usłuchali go i weszli do wielkiej izby, gdzie dziesięciu żołnierzy czekało w milczeniu, zerkając przez szpary w zamkniętych okiennicach. Kapitan, skulony pod murkiem, sam jeden został na podwórzu, podczas gdy raz po raz rozlegały się wściekle salwy. Żołnierze, których rozstawił na przedpolu, bronili każdej piędzi ziemi. Gdy nieprzyjaciel zaczął wykurzać ich z kryjówek, ustępowali jednak i pełzając wracali jeden po drugim. Rozkaz brzmiał: zyskać na czasie, nie pokazywać się, aby Prusacy nie mogli ocenić, jakie siły mają naprzeciw siebie. Upłynęła jeszcze jedna godzina. Gdy nadszedł sierżant meldując, iż poza obrębem młyna pozostało już tylko dwóch czy trzech ludzi, oficer wyciągnął zegarek:

– Wpół do trzeciej... A więc musimy utrzymać się przez cztery godziny.

Kazał zamknąć główną bramę, poczyniono przygotowania do czynnej obrony. Ponieważ Prusacy znajdowali się po drugiej stronie Moreli, nie groził bezpośredni atak. Był wprawdzie most o dwa kilometry stąd, ale nie wiedzieli chyba o jego istnieniu, mało zaś prawdopodobne, by próbowali przejść rzekę w bród. Więc oficer kazał tylko obserwować drogę. Cała uwaga ma być skierowana w stronę pól.

Strzelanina znowu ucichła. W pełnym słońcu młyn stał jakby wymarły. Ani jedna okiennica nie była otwarta, z wnętrza nie dochodził najmniejszy nawet szmer. Tymczasem Prusacy zaczęli pokazywać się jeden po drugim na skraju lasu Gagny. Coraz śmieiej wysuwali głowy. W młynie wielu żołnierzy przykładano już broń do ramienia, lecz kapitan zawołał:

– Nie, nie, czekajcie!... Niech się przybliżą.

Czynili to bardzo ostrożnie, z nieufnością spoglądając na młyn. Niepokoiły ich stare, pokryte bluszczem zabudowania, milczące i posepne. Mimo to szli naprzód. Gdy było ich pół setki na łące naprzeciw młyna, oficer rzucił tylko:

– Jazda!

Potężny huk rozdarł ciszę, po czym rozległy się pojedyncze strzały. Franka, przeszyta dreszczem, odruchowo zakryła uszy rękami. Dominik spoglądał zza pleców żołnierzy, a kiedy dym rozproszył się nieco, zobaczył trzech Prusaków leżących na wznak pośrodku łąki. Inni skoczyli za wierzby i topole.

Zaczął się obłęd.

Przez dobrą godzinę młyn był pod ostrzałem. Kule niczym grad smagały stare ściany. Słysząc było, jak trafiając na kamień, spadały zgniecione do wody, w drewnie zaś grzęzły z głuchym dźwiękiem. Niekiedy trzask jakiś oznajmił, że ugodzone zostało młyńskie koło. Zamknięci w środku żołnierze oszczędzali naboju, strzelali wyłącznie do konkretnego celu. Od czasu do czasu kapitan spoglądał na zegarek. Gdy kula roztrzaskała okiennicę i utkwiała w suficie, burknął:

– Czwarta. Nie utrzymamy się w żaden sposób. Rzeczywiście strzelanina była tak piekielna, że stary młyn

drżał w posadach. Podziurawiona na rzeszoto, jedna z okiennic spadła do wody i trzeba ją było zastąpić materacem. Merlier wychylał się co chwila, by zobaczyć, jakie szkody poniosło jego biedne koło, którego trzaski raniły mu serce. Teraz już koniec, nigdy nie zdoła go wyłatać. Dominik błagał Franusię, by się oddaliła, ale dziewczyna uparła się, że zostanie przy nim; usiadła tylko za ogromną dębową szafą, która ją osłaniała. Kula trafiła jednak w szafę, jej ścianki odpowiedziały basowym jękiem. Wtedy Dominik stanął przed Franciszką. Dotychczas nie strzelał jeszcze, fuzję trzymał w ręku, nie mogąc dostać się do okien szczelnie obstawionych przez żołnierzy. Za każdą salwą podłoga drżała.

– Uwaga, uwaga! – zawołał nagle kapitan.

Spostrzegł właśnie ciemne mrowie wylaniające się z lasu. W tej samej chwili rozpętał się straszliwy ogień salwowy. Jakby trąba powietrzna przeszła nad młynem. Rozleciała się druga okiennica i przez pusty otwór zaczęły wpadać kule. Dwaj żołnierze zwalili się na podłogę. Jeden nie poruszył się więcej; odsunięto go pod ścianę, ponieważ zawadzał. Drugi wił się błagając, by go dobito, ale nikt nie zwracał nań uwagi, kule gwizdały bez – ustannie, każdy krył się próbując znaleźć jakiś otwór, przez który można by strzelać. Trafiony został trzeci żołnierz. Bez słowa osunął się na brzeg stołu, oczy miał nieruchome i błędne. Na widok trupów Franka, ogarnięta przerażeniem, machinalnie odepchnęła krzesło i usiadła na podłodze pod ścianą. Czuła się tam mniejsza i bardziej bezpieczna. Tymczasem pościągano materace z całego domu i jako tako zatkano okno. Coraz więcej było w izbie gruzu, strzaskanej broni, pogruhotanych sprzętów.

– Piąta – rzekł kapitan. – Trzymajcie się... Będą chyba próbowali przejść rzekę.

W tym momencie Franka krzyknęła. Kula rykoszetem drasnęła jej czoło. Pokazało się parę kropel krwi. Dominik spojrział na nią. Potem, zbliżywszy się do okna, wypalił po raz pierwszy i już nie przestał. Ładował, strzelał nie zważając na to, co się wokół niego dzieje, tylko od czasu do czasu rzucał okiem na Franusię. Nie śpieszył się zresztą, celował starannie. Posuwając się wzdłuż topoli, Prusacy, jak przewidywał kapitan, próbowali przejść Morełę. Którykolwiek jednak odważył się na to, padał trafiony w głowę kulą Dominika. Obserwujący całą tę grę kapitan był zachwycony. Gratulował młodzieńcowi mówiąc mu, że byłby szczęśliwy, gdyby miał wielu takich strzelców. Dominik nie zwracał na to uwagi. Kula skaleczyła mu ramię, inna kontuzjowała rękę. On strzelał dalej.

Znowu padło dwóch żołnierzy. Poszarpane materace nie osłaniały już okien. Jeszcze jedna salwa, a młyn, zdawało się, zostanie zmieciony. Pozycja była nie do utrzymania. Oficer powtarzał jednak:

– Trzymajcie się! Jeszcze pół godziny...

Teraz liczył już minuty. Zobowiązał się wobec swych dowódców zatrzymać nieprzyjaciela aż do wieczora i nie ruszyliby na krok przed ustaloną godziną odwrotu. Minę miał nadal pogodną, uśmiechał się do Franusi, by dodać jej otuchy. Podniósł właśnie karabin zabitego żołnierza i sam

zaczął strzelać.

W izbie pozostało tylko czterech żołnierzy. Na drugim brzegu Moreli ukazała się chmara Prusaków; było oczywiste, że lada chwilę sforsują rzekę. Upłynęło jeszcze kilka minut. Kapitan trwał przy swoim, nie chcąc dać rozkazu do odwrotu, kiedy nadbiegł sierżant ze słowami: – Są na drodze, zajdą nas od tyłu! Prusacy odnaleźli widać most. Kapitan wyciągnął zegarek.

– Jeszcze pięć minut – powiedział. – Nie będą tu przed upływem pięciu minut.

Wreszcie, punkt szósta, zgodził się wypuścić swych ludzi przez furtkę prowadzącą na małą dróżkę. Tam skoczyli w rów, którym przedostali się do lasu Sauval. Przed odejściem kapitan szarmancko zaszalutował staremu Merlier i prosząc o wybaczenie, dodał:

– Zabawiajcie ich... Wrócimy tu jeszcze.

Tymczasem Dominik został sam w wielkiej izbie. Strzelał nadal, nie słysząc, nie wiedząc o niczym. Czuł wyłącznie potrzebę bronienia Franusi. Nie zauważył nawet, jak żołnierze odeszli. Celował i za każdym strzałem kładł trupem upatrzonemu Prusaka. Nagle podniósł się harmider, Prusacy od tyłu wtargnęli na podwórze. Dominik po raz ostatni dał ognia, dopadli go, gdy fuzja jeszcze dymiła.

Trzymało go czterech ludzi. Inni wrzeszczeli wokół niego w obcym, okropnym języku. O mało nie zatłukli go na miejscu. Franciszka rzuciła się z błaganiem. Wszedł jednak oficer i zażądał jeńca. Zamieniwszy z żołnierzami kilka zdań po niemiecku, odwrócił się do Dominika i powiedział surowo, doskonałą francuszczyzną:

– Za dwie godziny będziecie rozstrzelani.

3

Z rozkazu niemieckiego sztabu głównego każdy Francuz nie należący do armii regularnej, a schwytany z bronią w ręku, miał być rozstrzelany. Nawet kompanie wolnych strzelców nie były uznawane za stronę walczącą. Stosując okrutne represje wobec chłopów broniących swych zagród, Niemcy chcieli zapobiec pospolitemu ruszeniu, którego poważnie się obawiali.

Oficer, wysoki i suchy mężczyzna około pięćdziesiątki, poddał Dominika krótkiemu przesłuchaniu. Chociaż mówił po francusku bardzo czysto, miał akcent typowo pruski.

– Pochodzicie z tych stron?

– Nie, jestem Belgiem. – Dlaczego chwyciliście za broń? To wszystko nie powinno was obchodzić.

Dominik nie odpowiedział. W tym momencie oficer spostrzegł Franke, która przysłuchiwała się bladej, z białym czołem przeciętym czerwoną pręgą. Popatrzył kolejno na młodych, zrozumiał jakby i dodał:

– Nie zaprzeczacie, żeście strzelali?

– Strzelałem, ile tylko mogłem – odpowiedział spokojnie Dominik.

Wyznanie to było zbędne, ponieważ stał czarny od prochu, zroszony potem, powalany krwią z zadraśniętego ramienia.

– Dobrze więc. Za dwie godziny będziecie rozstrzelani – powtórzył oficer.

Franka nie jęknęła nawet. Złożyła ręce i wzniosła je w geście niemej rozpacz. Oficer zauważył ten gest. Dwaj żołnierze zaprowadzili Dominika do sąsiedniego pokoju, gdzie mieli nie spuszczać go z oka. Dziewczyna opadła na krzesło, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła płakać, dusiła się. Oficer wciąż się jej przyglądał, wreszcie odezwał się:

– Czy to brat panienki?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Oficer nadal był sztywny, bez uśmiechu. Po chwili milczenia zapytał:

– Od dawna mieszka w tych stronach? Potwierdziła skinieniem.

– Musi więc dobrze znać okoliczne lasy?

Tym razem odezwała się patrząc nań nieco zdziwiona:

– Tak, proszę pana.

Nie powiedział nic więcej, obrócił się na pięcie i zażądał, by sprowadzono mera. Franka wstała z lekkim rumieńcem na twarzy, zdawało się jej, że pojmuje sens tych pytań. Wstąpiła w nią nadzieja. Sama pobiegła po ojca. Z chwilą gdy strzały umilkły, Merlier żwawo zszedł drewnianą galeryjką, by obejrzeć swoje koło. Uwielbiał córkę, głęboką przyjaźnią darzył przysłego zięcia, ale i koło młyńskie zajmowało w jego sercu niemało miejsca. Ponieważ dzieciaki, jak ich nazywał, wyszły z opresji zdrowe i całe, myślał o swym trzecim pupilu, który szczególnie, biedak, ucierpiał. Schylony nad ogromnym drewnianym szkieletem, z bo leśnią przyglądał się ranom koła. Było gęsto podziurawione ku – lami, z pięciu łopatek pozostały szczątki. Wkładał palce w otwory, by zmierzyć ich głębokość, przemyśliwał nad sposobem naprawienia wszystkich tych uszkodzeń. Franka zastała go, jak zatykał właśnie szpary drzazgami i mchem.

– Wzywają ojca.

Teraz dopiero rozplakała się i opowiedziała mu, co się stało. Merlier pokręcił głową. Nie rozstrzeliwuje się ludzi tak od razu. Trzeba zobaczyć, o co chodzi. I wrócił do młyna, milczący i spokojny jak zwykle.

Gdy oficer zażądał żywności dla swych żołnierzy, Merlier odpowiedział, że mieszkańcy Rocreuse nie są przyzwyczajeni do brutalnego traktowania i że przemocą nic się u nich nie wskóra. Podejmuje się to załatwić tylko pod warunkiem, że pozostawi mu się swobodę działania. W pierwszej chwili oficer zdawał się być podrażniony tym beznamytnym tonem, potem, wobec krótkich i jasnych słów starego, ustąpił. Przywołał go jeszcze, by spytać:

– Te lasy naprzeciw jak się nazywają?

- Lasy Sauval.
- Daleko się ciągną? Młynarz zmierzył go wzrokiem.
- Nie wiem – odpowiedział i oddalił się.

Po upływie godziny żywność i pieniądze, kontrybucja nałożona przez oficera, znajdowały się na podwórzu młyna.

Zbliżała się noc, Franka z trwogą śledziła ruchy żołnierzy. Nie oddalała się od pokoju, w którym zamknięty był Dominik. Około siódmej przeżyła chwile bolesnego napięcia. Widziała, jak oficer wszedł do więźnia, i przez kwadrans słyszała ich głosy. W pewnym momencie oficer ukazał się na progu, by wydać po niemiecku rozkaz, którego nie rozumiała. Gdy jednak na podwórzu ustawiono się dwunastu żołnierzy z karabinami w rękę, ogarnęło ją drzenie, zdawało jej się, że padnie trupem. A więc stało się, zaraz odbędzie się egzekucja. Przez dziesięć minut żołnierze czekali na miejscu, słychać było nadal głos Dominika, który gwałtownie czegoś odmawiał. Wreszcie oficer wyszedł trzaskając drzwiami.

- Dobrze więc, zastanówcie się... Daję wam czas do rana.

I ruchem ręki kazał rozejść się dwunastu żołnierzom. Franka stała półprzytomna. Merlier, który kurząc fajkę przyglądał się z ciekawością plutonowi, wziął teraz dziewczynę pod rękę, czule, po ojcowsku, i zaprowadził do jej pokoju.

- Bądź spokojna, staraj się zasnąć. Jutro, gdy wstanie dzień, zobaczymy...

Wychodząc, na wszelki wypadek zamknął drzwi na klucz. Hołdował zasadzie, że kobiety nie na wiele się przydają, a już wszystko mogą popsuć, gdy zabierają się do spraw poważnych.

Franka nie położyła się jednak. Długo siedziała na łóżku, wsłuchując się w odgłosy, jakie dochodziły z całego domu. Obozujący na podwórzu Prusacy śpiewali i śmiali się. Musieli jeść i pić aż do jedenastej, hałas bowiem nie ustawał ani na chwilę. W samym młynie słychać było od czasu do czasu ciężkie kroki, zapewne zmieniano posterunki. Ale najbardziej interesowały Frankę odgłosy z izby pod jej pokoikiem. Raz po raz kładła się na podłodze, przytykając do niej ucho. W tej właśnie izbie zamknięty był Dominik. Chodził pewnie od ściany do okna, długo bowiem słyszała miarowy rytm jego kroków. Potem nastąpiła cisza, chyba usiadł. Zresztą hałasy milkły, wszystko zasypiało. Kiedy dom zdawał się drzemać, możliwie jak najciszej otworzyła okno i oparła się łokciami o parapet.

Noc była pogodna i ciepła. Wąski sierp księżycy, wędrujący za lasy Sauval, oświetlał pola blaskiem nocnej lampki. Wydłużone cienie drzew rysowały łąkę czarnymi kreskami, zaś w miejscach odsłoniętych trawa nabierała miękkiej zieloności aksamitu. Ale Franka nie zwracała uwagi na tajemnicze uroki nocy. Obserwowała okolice, wypatrując wartowników, których, jak przypuszczała, Niemcy musieli porozstawiać. Zobaczyła wyraźnie ich cienie czerniejące w równych odstępach nad Morelą. Jeden tylko wartownik stał przed młynem, po drugiej stronie rzeki, obok wierzby, której gałęzie kapały się w wodzie. Franka widziała go doskonale. Wysoki,

nieruchomo wpatrzony w niebo, wyglądał jak zatopiony w marzeniach pasterz.

Kiedy już dokładnie zlustrowała okolicę, z powrotem usiadła na łóżku. Siedziała tak przez godzinę, całkowicie pogrążona w rozmyślaniach. Potem znowu wyteżyła słuch: ani szmeru w całym domu. Podeszła do okna i wyjrzała. Wystający jeszcze spoza drzew róg księżycy zdawał się ją krępować, dalej bowiem czekała. Wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Noc była czarna, Franka nie dostrzegła już wartownika z przeciwka, pola zamieniły się w atramentowe morze. Po chwili nasłuchiwania zdecydowała się. W pobliżu okna umocowane w murze pręty tworzyły żelazną drabinę, która prowadziła od koła młyńskiego aż na strych, umożliwiając niegdyś młynarzowi dogłębne oglądanie poszczególnych części mechanizmu. Później maszynierę zmieniono, drabinka zaś od dawna tonęła w gęstym bluszczu, pokrywającym młyn od tej strony. Franka odważnie przeszła przez balustradkę okna, chwyciła za jeden z żelaznych prętów i zawisła w próżni. Zaczęła schodzić. Spódnice bardzo jej przeszkadzały. Jakiś kamień oderwał się nagle od muru i wpadł do Moreli z dźwięcznym pluskiem. Zamarła, przesyta lodowatym dreszczem. Uświadomiła sobie jednak, że nieustanny szum wodospadu zagłusza na odległość wszelkie hałasy, jakie mogła spowodować, schodziła przeto śmieiej, rozsuwając stopą bluszcz, by namacać szczeble. Na wysokości pokoju, w którym uwięziony był Dominik, zatrzymała się. Nieprzewidziana trudność omal że nie odebrała jej całej odwagi: okno Dominika nie znajdowało się dokładnie pod oknem jej pokoju, było bardziej oddalone od drabinki, więc gdy wyciągnęła rękę, natrafiła na mur. Miałaby wrócić na górę, nie doprowadziwszy swego planu do końca? Ręce odmawiały posłuszeństwa, szum Moreli zaczynał ją przyprawiać o zawrót głowy. Jęła tedy wydrapywać z muru kawałeczki gipsu i rzucać nimi w okno Dominika. Nie słyszał, pewnie spał. Dalej wykruszała mur, ocierając sobie palce do krwi. Była już u kresu sił, czuła, że zaraz spadnie, gdy Dominik cichutko uchylił okna.

– To ja – szepnęła. – Trzymaj mnie! Prędko, bo upadnę!

Po raz pierwszy powiedziała mu „ty”. Wychylając się schwycił ją i wciągnął do pokoju. Tu dopiero wybuchnęła płaczem. Tłumiła jednak łkanie, aby nikt nie usłyszał. Wreszcie najwyższym wysiłkiem woli opanowała się.

– Pilnują cię? – spytała cicho.

Nie ochłonawszy jeszcze z wrażenia, że widzi ją tutaj, Dominik wskazał tylko drzwi, za którymi słychać było chrapanie. Zmożony sennością wartownik położył się pod drzwiami, przekonany, że dzięki temu więzień nie będzie mógł umknąć.

– Musisz uciekać – powiedziała gorączkowo. – Przyszłam błagać cię, abys uciekł, i pożegnać się z tobą. Dominik zdawał się jej nie słyszeć. Powtarzał tylko:

– A więc to ty, to ty... Jakżeś mnie przestraszyła! Mogłaś się zabić.

Ujął jej ręce i całował je.

– Tak bardzo cię kocham, Franusiu! Jesteś równie odważna, jak dobra. Jednego się tylko

obawiałem, że umrę nie zobaczywszy cię więcej. Ale jesteś przy mnie, teraz mogą mnie rozstrzelać. Gdy zostaniesz ze mną choć kwadrans, będę gotów na wszystko.

Przygarnął ją do siebie, Franka oparła głowę na jego ramieniu. Niebezpieczeństwo popchnęło ich ku sobie. W uścisku zapomnieli o całym świecie.

– Franusiu – powiedział pieszczotliwie – dziś jest świętego Ludwika, długo wyczekiwany dzień naszego ślubu. Nic nas nie mogło rozdzielić, bo oto jesteśmy sami, we dwoje, wierni naszemu spotkaniu... Dziś nasz ślub, prawda?

– Tak, tak – powtórzyła – dziś nasz ślub.

Złączyli się w pocałunku, przejęci dreszczem. Nagle Franka uwolniła się z uścisku, ujrzała na nowo okrutną rzeczywistość.

– Musisz uciekać, musisz uciekać! Nie traćmy ani minuty. A gdy znów wyciągnął po nią ramiona w ciemności, rzekła:

– Proszę cię, słuchaj mnie... Jeżeli ty umrzesz, ja umrę także. Za godzinę będzie jasno. Chcę, żebyś zaraz wyruszył.

I szybko wyłożyła mu swój plan. Żelazna drabinka schodzi do samego koła; tam, trzymając się łopatek, może wejść do łodzi znajdującej się w zagłębieniu. Potem z łatwością przeprawi się na drugi brzeg rzeki i ucieknie.

– Muszą tam przecież stać wartownicy – odparł.

– Tylko jeden, naprzeciwko, koło pierwszej wierzby.

– Jeśli mnie zauważy, jeśli zacznie krzyżeć?

Frankę przeszły ciarki. Wetknęła mu w rękę nóż, który z sobą przyniosła. Przez chwilę milczeli.

– A ojciec? A ty! – odezwał się Dominik. – Ależ nie, nie mogę uciekać. Jeśli mnie tu nie będzie, żoldacy gotowi was zamordować. Nie znasz ich. Obiecali, że darują mi życie, gdy zgodzę się przeprowadzić ich przez lasy Sauval. Jeżeli nie zastaną mnie tutaj, będą zdolni do wszystkiego.

Dziewczyna nie traciła czasu na dyskusje. Każdy jego argument odpierała słowami: – Przez miłość do mnie, uciekaj! Jeśli mnie kochasz, Dominiku, nie zostawaj tu ani minuty dłużej.

Potem przyrzekła, że wróci do swego pokoju. Nie będą wiedzieli, że mu pomogła. Wreszcie, aby go ostatecznie przekonać, zarzuciła mu ramiona na szyję i całowała z niepoohamowaną namiętnością. Dominik uległ. Prosił tylko o jedno:

– Przysięgnij, że ojciec wie o wszystkim i że doradza mi ucieczkę.

– Właśnie ojciec mnie tu przysłał – odrzekła bez wahania. Kłamała. W tym momencie czuła jedną nieprzepatą potrzebę:

wiedzieć, że Dominik jest w bezpiecznym miejscu, wyzwolić się od potwornej myśli, że wschód słońca ma być zwiastunem jego śmierci. Gdy już będzie daleko, niech spadają na nią

wszelkie nieszczęścia, przyjmie je radośnie z chwilą, gdy on zostanie przy życiu. Egoizm jej miłości domagał się przede wszystkim, by Dominik żył.

– No więc dobrze – rzekł – uczynię, jak chcesz.

Nie mówili więcej. Dominik miał już otworzyć okno, gdy przeraził ich jakiś łoskot. Drzwi drgnęły, zdawało się, że ktoś je otwiera. Widocznie ront usłyszał ich głosy. Stali przytuleni do siebie, w niewypowiedzianej trwodze oczekiwania. Drzwi znowu zadygotały, nie otworzyły się jednak. Oboje odetchnęli z ulgą, domyślili się, że to żołnierz leżący w progu przewrócił się na drugi bok. Rzeczywiście, zaległa cisza i znów było słycać chrapanie.

Dominik obstawał przy tym, aby Franka pierwsza wróciła do siebie. Wziął ją w ramiona, pożegnał bez słów. Potem pomógł jej uchwycić drabinę i sam z kolei uczepił się prętów. Nie zgodził się jednak zejść ani o jeden szczebel, zanim Franka nie znalazła się w pokoju. Kiedy już była u siebie, szeptem lekkim jak tchnienie rzuciła mu:

– Do widzenia. Kocham cię!

Oparta łokciami o parapet, próbowała śledzić wzrokiem Dominika. Ciemności były nadal nieprzeniknione. Wypatrywała wartownika, nie dostrzegła go jednak; tylko wierzba odcinała się w mroku bladą plamą. Przez chwilę słyszała, jak Dominik schodząc ociera się o bluszcz. Potem zaskrzypiało koło i doszedł ją lekki plusk świadczący o tym, że zbiegowi udało się znaleźć łódź. Istotnie, po upływie minuty na szarej fali Moreli rozpoznała ciemną sylwetkę łodzi. Znów schwycił ją za gardło straszliwy niepokój. Zdawało jej się co chwila, że wartownik woła na alarm. Najlżejsze odgłosy dochodzące z mroku brała za przyśpieszone kroki żołnierzy, za chrzęst broni, szczęk nabijanych karabinów. Jednakże sekundy mijały, a w naturze panował niezmacony spokój. Dominik musiał przybić do drugiego brzegu. Franka nic już nie widziała. Wśród majestatycznej ciszy usłyszała raptem tupot, chrapliwy krzyk, głuchy odgłos padającego ciała. Potem cisza była jeszcze głębsza. Franka odczuła jakby powiew śmierci. Stała lodowata, oko w oko z gęstą nocą.

4

Od samego świtu młyn napełnił się głośnymi krzykami. Merlier otworzył drzwi od pokoju Franki. Błada, bardzo spokojna, zeszła na podwórze. Tu jednak nie mogła powstrzymać dreszczu na widok zabitego żołnierza pruskiego, który leżał przy studni na rozpostartym płaszczu.

Wokół trupa żołnierze gestykulowali i wrzeszczeli z wściekłością. Wielu z nich wygrażało pięściami w stronę wioski. Tymczasem oficer kazał wezwać starego Merlier jako mera.

– Oto jeden z naszych ludzi – rzekł głosem zdławionym od gniewu. – Znalaziono go zamordowanego nad brzegiem rzeki. Musimy dać surową nauczki. Liczę, że pomożecie nam wykryć zabójcę.

– Wszystko, co pan rozkaże – odpowiedział młynarz ze swą zwykłą flegmą. – Tylko to nie będzie takie proste.

Oficer schylił się i odsunął połę płaszcza, zakrywającą twarz zmarłego. Ukazała się straszliwa rana. Wartownik ugodzony został w szyję nożem, który w niej tkwił dotychczas. Było to zwykłe kuchenne narzędzie z czarnym trzonkiem.

– Przyjrzyjcie się temu nożowi – rzekł oficer do młynarza. – Może nam pomóc w poszukiwaniach.

Starego ciarki przeszły. Ale zaraz opanował się i odpowiedział z twarzą, na której nie drgnął ani jeden mięsień:

– Wszyscy w tych stronach mają podobne noże... Kto wie, może waszemu żołnierzowi przejadła się już wojaczka i sam się z sobą załatwił. To się zdarza. – Milczeć! – krzyknął z pasją oficer. – Nie wiem, co mnie jeszcze wstrzymuje od puszczenia z dymem całej tej wsi.

Gniew nie pozwolił mu na szczęście zauważyć głębokiej zmiany na twarzy Franki. Musiała usiąść na kamiennej ławce koło studni. Mimo woli nie spuszczała wzroku z trupa, który leżał prawie u jej stóp. Był to wysoki, przystojny chłopiec o jasnych włosach i niebieskich oczach, podobny do Dominika. Owo podobieństwo przejmowało ją do głębi serca. Myślała sobie, że może zmarły zostawił gdzieś w Niemczech ukochaną, która będzie po nim płakać. Widziała swój nóż w jego gardle. To ona go zabiła.

Podczas gdy oficer zapowiadał, że zastosuje wobec wsi drakońskie represje, nadbiegli żołnierze. Dopiero teraz zauważono ucieczkę Dominika. Wywołało to ogromne poruszenie. Oficer udał się na miejsce, wyrzwał przez pozostawione otworem okno, zrozumiał wszystko i wrócił rozjątrzony do ostateczności.

Merlier wydawał się bardzo niekontent z ucieczki Dominika.

– Głupiec! Pokpił całą sprawę – mruknął.

Słyszając to Franka przeraziła się. Ojciec nie podejrzewał jej zresztą o znowę. Kiwając głową, rzekł do niej półgłosem:

– Ładnie teraz będziemy wyglądać!

– To ten łajdak, ten łajdak! – krzyknął oficer. – Już pewno jest w lesie. Ale muszę go odnaleźć, inaczej wieś za niego zapłaci.

Zwrócił się do młynarza:

– Wy chyba wiecie, gdzie się ukrywa?

Merlier uśmiechnął się po swojemu, wskazując na ciągnące się w dal zalesione zbocza.

– Czy można znaleźć człowieka w takim gąszczu? – rzekł.

– O, już wy tam musicie znać kryjówki Dam wam dziesięciu ludzi. Poprowadzicie ich.

– Zgoda. Ale trzeba nam całego tygodnia, by przetrząsnąć wszystkie okoliczne lasy.

Spokój starego doprowadzał oficera do wściekłości. Prawdę mówiąc, rozumiał on

niedorzeczność takiej obławy. Teraz dopiero spostrzegł na ławce Frankę, bladą i rozdygotaną. Uderzył go lęk malujący się na twarzy dziewczyny. Przez chwilę milczał przypatrując się kolejno młynarzowi i Franciszce. Wreszcie spytał starego brutalnie:

– Czy ten człowiek nie jest aby kochankiem waszej córki? Merlier zsiniał i wydawało się, że zaraz skoczy na Prusaka, by go udusić. Zebrał się w sobie, skamieniał i nic nie odpowiedział. Franka ukryła twarz w dłoniach.

– A więc tak – ciągnął oficer. – Albo wy, albo wasza córka pomogliście mu w ucieczce. Jesteście jego współnikami... Pytam po raz ostatni, wydacie go czy nie?

Młynarz nie odpowiedział. Odwrócił się i patrzył w dal obojętnie, jakby słowa oficera nie do niego były skierowane. Dopełniło to miary gniewu, Prusak oświadczył:

– Dobrze, będziecie rozstrzelani zamiast niego.

I ponownie rozkazał sformować pluton egzekucyjny. Merlier zachował swoją flegmę. Wzruszył tylko lekko ramionami; cały ten dramat wydawał mu się w złym guście. Nie wierzył zapewne, aby tak łatwo można było rozstrzelać człowieka. Potem jednak, gdy pluton stał gotowy, młynarz rzekł z powagą:

– A więc to na serio? Zgoda. Jeśli wam koniecznie potrzebna głowa, równie dobra moja, jak każda inna.

– Łaski! Niech pan nie robi krzywdy memu ojcu. Mnie proszę zabić zamiast niego... To ja pomogłam uciec Dominikowi. Tylko ja jestem winna.

– Zamilcz, córeczko! – wykrzyknął Merlier. – Dlaczego kłamiesz? Spędziła noc zamknięta w swym pokoju, proszę pana. Ona kłamie, zapewniam.

– Nie, nie kłamię! – żarliwie zawołała dziewczyna. – Zeszłam przez okno, namówiłam Dominika do ucieczki... To prawda, szczerą prawdą...

Stary pobladł. Czytał w jej oczach, że nie kłamie, cała ta historia zaczynała go przerażać. Ach, te dzieci ze swymi gorącymi sercami, jak one wszystko psują! Wpadł w gniew.

– Ona oszalała, niech jej pan nie słucha. Opowiada niestworzone historie... Skończmy już z tym wreszcie.

Chciała jeszcze protestować. Ukłękła, złożyła ręce. Oficer z zimną krwią przyglądał się tym bolesnym zmaganiom.

– Mój Boże! – powiedział wreszcie. – Biorę ojca, ponieważ nie mam w ręku tamtego... Niech panienska postara się go odnaleźć, a ojciec będzie wolny.

Przez chwilę patrzyła nań szeroko rozwartymi oczami, osłupiała wobec tak niehumanitarnej propozycji. – To okropne – szepnęła. – Gdzie mam teraz szukać Dominika? Poszedł, czy ja wiem, dokąd?

– Niech panienska wybiera. On albo ojciec.

– Wielki Boże! Czyż mogę wybierać? Gdybym nawet wiedziała, gdzie jest Dominik, nie

mogłabym dokonać wyboru! Rozdziera mi pan serce na dwoje... Wolałabym zaraz umrzeć. Niechby się to już prędzej skończyło. Zabijcie mnie, proszę, zabijcie...

Ta scena rozpacz i łez zaczynała niecierpliwieć oficera.

– Dość już tego! Chcę okazać dobrą wolę, daję panience dwie godziny... Jeśli za dwie godziny kochanek nie zjawi się tu, ojciec zapłaci za niego.

I kazał zaprowadzić starego do pokoju, który służył za więzienie Dominikowi. Merlier upomniał się o tytoń i zaczął palić. Na jego nieruchomej twarzy nie widać było śladu wzruszenia. Dopiero gdy został sam ze swą fajką, dwie wielkie łzy spłynęły mu wolno po policzkach. Biedna, kochana córeczka, jakże ona cierpi!

Franka stała na środku podwórza. Żołnierze pruscy mijali ją ze śmiechem. Niektórzy rzucali jej jakieś niezrozumiałe słówka, jakieś żarty. Wpatrzona była w drzwi, za którymi zniknął właśnie jej ojciec. Powolnym ruchem podniosła rękę do czoła, jakby bała się, że jej czaszka pęknie.

Obracając się na pięcie, oficer powtórzył:

– Ma panienska dwie godziny. Radzę je wykorzystać.

Dwie godziny... Słowa te brzęczały jej w głowie. Bezwiednie wyszła z podwórza, idąc przed siebie. Dokąd skierować kroki? Co robić? Nie próbowała nawet powziąć decyzji, zdając sobie sprawę, że daremne są jej wysiłki. A jednak pragnęła zobaczyć się z Dominikiem. We dwoje coś by już wymyślili, znaleźliby może jakiś wybieg. Pośród zamętu myśli zeszyła na brzeg Moreli i przebyła rzekę poniżej śluzy, w miejscu gdzie sterczały wielkie kamienie. Nogi same zaprowadziły ją pod pierwszą wierzbę na skraju łąki. Schyliwszy się poblądła na widok kałuży krwi. To tutaj. I szła po śladach, jakie Dominik wydeptał w trawie. Musiał biec, odciski jego stóp w dużych odstępach przecinały łąkę na ukos. Potem straciła ślady. Ale na sąsiedniej łączce je odnalazła. Dotarła w ten sposób do skraju lasu, gdzie wszelki znak się urywał.

Mimo to Franka zapuściła się w gęstwinę. Samotność przynosiła jej ulgę. Usiadła na chwilę. Potem, na myśl, że czas upływa, zerwała się. Jak dawno wyszła z młyna? Pięć minut temu? Pół godziny? Straciła poczucie czasu. Może Dominik ukrył się w zagajniku, gdzie pewnego popołudnia byli razem na orzechach? Poszła do zagajnika, przeszukała go. Tylko kos wzleciał, wygwizdując tkliwą, smętną frazę. Pomyślała wówczas, że Dominik schronił się w pieczarze, gdzie stawał niekiedy na czatach. Ale pieczara była pusta. Po co go szukać, nie znajdzie go.

Stopniowo jednak pragnienie odszukania Dominika potęgowało się, Franka szła coraz prędzej. Nagle wpadła na myśl, że mógł się wdrapać na drzewo. Idąc patrzyła odtąd w górę i, by dać znać o swej obecności, wołała go co piętnaście, dwadzieścia kroków. Odpowiadały jej kukulki. Powiew wiatru poruszający gałęziami wywoływał w niej wrażenie, że oto jest i już schodzi z drzewa. Raz nawet uroiła sobie, że go widzi. Stała bez tchu, miała ochotę uciekać. Co mu powie? Czyż po to przyszła, by go zabrać ze sobą na rozstrzelanie? O nie, nie wspomni

nawet o tym. Będzie go zaklinała, by uciekał, by nie zostawał w pobliżu. Po chwili myśl o ojcu, który czeka na nią, zadała jej ostry ból. Upadła z płaczem na murawę, powtarzając głośno;

– Boże mój, Boże! Po co ja tu przyszedłam?

Szaleństwem było tu przychodzić. I jakby zdjęta nagłym strachem, zaczęła biec szukając wyjścia z lasu. Trzy razy myliła drogę, myślała już, że nie trafi do młyna, aż oto wpadła prosto na łąkę, naprzeciwko Rocreuse. Na widok wioski zatrzymała się. Miałażby wrócić sama? Gdy tak stała, doszło ją ciche wołanie:

– Franusiu! Franusiu!

I ujrzała Dominika wychylającego głowę z rowu. Boże sprawiedliwy! Więc go znalazła! Czyżby niebiosa chciały jego śmierci? Zdusiła w sobie okrzyk, wśliznęła się do rowu.

– Szukałaś mnie? – zapytał.

– Tak.

Szumiało jej w głowie, nie wiedziała, co mówić.

– Co się stało? Spuściła oczy i wyjąkała:

– Ależ nic, bałam się o ciebie, miałam ochotę cię zobaczyć. Uspokojony, wyjaśnił jej, że nie chciał się oddalać z obawy

o nich. Te łotry Prusaki zdolne są mścić się na kobietach i starcach. No, ale że wszystko w porządku, dorzucił śmiejąc się: – Za tydzień wyprawimy wesele, zobaczysz.

Lecz widząc, że nadal jest wstrząśnięta, spytał poważnie:

– Co ci jest? Ukrywasz coś przede mną.

– Nie, przysięgam. Po prostu biegłam tu.

Ucałował ją, mówiąc, że dalsza rozmowa byłaby ryzykowna i dla niej, i dla niego. Chciał już wracać rowem do lasu. Zatrzymała go drżąca.

– Wiesz co, może jednak lepiej będzie, jeśli tu zostaniesz... Nikt cię nie szuka, nie musisz się niczego obawiać.

– Ukrywasz coś przede mną, Franusiu – powtórzył. Znowu przysięgała, że niczego przed nim nie ukrywa, tylko

woli mieć go bliżej siebie. I wyjąkała jeszcze jakieś powody. Zrobiła na nim tak dziwne wrażenie, że teraz on sam nie zgodziłby się oddalić. Wierzył zresztą w powrót Francuzów, widziano ich od strony Sauval.

– Ach, żeby się tylko pośpieszyli, żeby tu byli jak najprędzej! – szeptała żarliwie.

W tym momencie na wieży kościoła w Rocreuse wybiła jedenasta. Dźwięki brzmiały czysto i wyraźnie. Zerwała się przerażona: już dwie godziny, jak wyszła z młyna.

– Wiesz co – powiedziała szybko – gdybyś nam był potrzebny, wejdę do mego pokoju i pomacham chusteczką.

Pobiegła pędem. Tymczasem Dominik wyciągnął się wzdłuż brzegu rowu i z niepokojem

obserwował młyn. Wracając do wsi, Franka spotkała starego żebraka, dziadka Bontemps, który znał całą okolicę. Pozdrowił ją: właśnie widział młynarza otoczonego Prusakami. Przeżegnawszy się, mrużąc coś pod nosem powędrował dalej.

– Dwie godziny minęły – rzekł oficer na widok Franciszki. Merlier siedział na ławce koło studni, nie przestając palić.

Dziewczyna znowu zaczęła błagać, płakała, upadła na kolana. Chciała zyskać na czasie. Obudziła się w niej nadzieja na powrót Francuzów i zdawało się jej, gdy tak lamentowała, że słyszy w oddali miarowy krok wojska. Ach, gdyby się zjawili, gdyby wyzwolili ich wszystkich!

– Proszę pana, godzinę, jeszcze godzinę... Może nam pan dać przecież godzinę czasu! Lecz oficer był nieugięty. Rozkazał nawet dwóm ludziom zabrać ją, by móc spokojnie przystąpić do egzekucji starego. W sercu Franki rozgorzała straszliwa walka. Nie mogła dopuścić, by zamordowali ojca. Nie, nie, raczej umrze z Dominikiem! Wyrwała się, chciała biec do swego pokoju, gdy na podwórzu wszedł Dominik we własnej osobie.

Oficer i żołnierze wydali triumfalny okrzyk. Lecz on, jakby tam była tylko Franusia, podszedł do niej, spokojny, nieco surowy.

– To niedobrze – powiedział. – Dlaczegoś mnie nie przyprowadziła? Trzeba było, żeby dziadek Bontemps opowiedział mi wszystko... No, ale jestem.

5

Była trzecia. Wielkie czarne chmury, ogon przechodzącej bokiem burzy, powoli zasnuły horyzont. Żółte niebo w łachmanach postrzępionych miedzią przeobraziło dolinę Rocreuse, tak wesołą w słońcu, w spelunkę pełną podejrzanych cieni.

Oficer pruski poprzestał na uwięzieniu Dominika, nie wypowiadając się co do swych dalszych wobec niego zamiarów. Od południa już koszmarna trwoga trzymała Frankę w śmiertelnym uścisku. Mimo nalegań ojca nie chciała odejść z podwórza. Czekala na Francuzów. Godziny płynęły, niedługo dzień miał się skończyć. Cierpienie jej było tym dotkliwsze, że mimo całego zyskanego czasu nie zanosilo się na zmianę tragicznego rozwiązania.

Jednakże około trzeciej Prusacy zaczęli przygotowywać się do wymarszu. Przed chwilą oficer zamknął się z więźniem jak poprzedniego dnia. Franka zrozumiała, że rozstrzyga się życie Dominika. Złożyła ręce, zaczęła się modlić. Merlier, obok niej, zachowywał milczącą, surową postawę starego wieśniaka, który nie buntuje się przeciwko przeznaczeniu.

– Mój Boże, mój Boże! – zawodziła Franusia. – Zabiją go... Młynarz pociągnął ją do siebie i wziął na kolana jak dziecko. W tym momencie oficer wyszedł, a za nim dwaj ludzie prowadzący Dominika.

– Nigdy, przenigdy! – wołał więzień. – Gotów jestem umrzeć. – Namyślcie się dobrze –

odparł oficer. – Przysługę, której odmawiacie, i tak odda nam kto inny. Daruję wam życie, jestem wspaniałomyślny. Chodzi tylko o przeprowadzenie nas lasami do Montredon. Muszą przecież być jakieś ścieżki.

Dominik nie odpowiadał.

– A więc upieracie się?

– Zabijcie mnie, niech już raz będzie koniec.

Franka złożyła ręce, błagała go z daleka. Niepomna na nic, gotowa była doradzić mu zdradę. Ale ojciec schwycił ją za ręce, by Prusacy nie dostrzegli gestu półprzytomnej dziewczyny.

– Ma rację – szepnął. – Lepiej umrzeć.

Pluton egzekucyjny stał w pogotowiu. Oficer liczył, że Dominik ulegnie, wciąż czekał na chwilę słabości. Zapanowało milczenie. W dali odzywały się potężne grzmoty. Ciężka duszność wisiała nad wsią. W ciszy rozległ się naraz okrzyk:

– Francuzi! Francuzi!

Rzeczywiście. Na drodze z Sauval, na tle lasu odcinał się jaskrawo długi rząd czerwonych spodni. W młynie zakotłowało się. Prusacy biegali na wszystkie strony, wydając gardłowe okrzyki. Dotychczas nie padł ani jeden strzał,

– Francuzi! Francuzi! – zawołała Franka klaszcząc w dłonie. Zachowywała się jak szalona. Wyrwawszy się z uścisku ojca,

śmiała się i wymachiwała rękami. Więc przybyli, nareszcie, i przybyli na czas, ponieważ Dominik stoi tu jeszcze żywy i cały!

Straszliwa salwa ogłuszyła ją jak uderzenie piorunu. Odwróciła się.

Chwilę przedtem oficer wycodził przez zęby:

– Przede wszystkim trzeba załatwić tę sprawę.

I popychając Dominika pod ścianę szopy, dał rozkaz: „Ognia!”

Gdy Franka odwróciła się, Dominik leżał na ziemi przeszyty dwunastoma kulami. Nie uroniła ani jednej łzy, popadła w nieme odrętwienie. Ze szklanym wzrokiem siadła pod szopą o parę kroków od ciała Dominika. Patrzała na nie i co pewien czas czyniła ręką dziecięcy, bezsensowny ruch.

Starego Merlier Prusacy wzięli jako zakładnika.

Piękna to była bitwa. Widząc, że odwrót równoznaczny jest zagładą, oficer szybko rozstawił żołnierzy. Należało przynajmniej drogo sprzedać swe życie. Tym razem Prusacy bronili młyna. Francuzi zaś przypuszczali atak. Strzelanina rozpoczęła się z niesłychaną gwałtownością. Nie ustawała przez pół godziny. Potem rozległ się głuchy huk i kula armatnia złamała konar stuletniego wiązu. Francuzi mieli działa. Bateria, ustawiona akurat nad rowem, w którym ukrywał się Dominik, ostrzeliwała jedyną ulicę Rocreuse. Od tej chwili walka nie mogła trwać długo.

Biedny młyn! Kule armatnie przeszywały go na wylot. Zniosło połowę dachu, runęły dwie ściany. Ale najstraszniejszym zniszczeniom uległ młyn od strony Moreli. Oderwany od chwiejących się murów bluszcz zwisał w strzępach. Rzeka unosiła najrozmaitsze szczątki, a przez wyrwę w ścianie widać było pokoik Franusi i jej łóżko z białymi, starannie zaciągniętymi firaneczkami. Stare koło, ugodzone raz za razem przez dwie kule armatnie, wydało ostatni jęk: łopatkę porwał prąd, szkielet został zmiażdżony. Wesoły młyn wyzionął ducha.

Francuzi przypuścili szturm. Stoczono zaciekły bój na białą broń. Pod rudym niebem przeobrażona w mordownię dolina zapełniła się trupami. Rozległe łąki z ciemnymi plamami cienia od wielkich samotnych drzew, od stojących w szeregu topól sprawiały wrażenie niesamowite. Po lewej i po prawej ściany lasów otaczały, niby w cyrku, arenę z walczącymi, a źródła, krynice i strumienie zdawały się szlochać wśród ogarniętych popłochem pól.

Pod szpą, skulona naprzeciw ciała Dominika, Franusia trwała w bezruchu. Stary Merlier, trafiony jakąś zabłąkaną kulą, padł na miejscu. Kiedy już Prusacy wybici byli do nogi, a młyn stał w płomieniach, na podwórze wkroczył francuski kapitan. Był to jedyny jego sukces od samego początku kampanii. Toteż cały w gorączkowym podnieceniu, prostując swą wysoką postać, śmiał się z miną dziarskiego kawalera. Ujrzawszy Franusię, obląkaną pomiędzy trupem męża i trupem ojca, wśród dymiących ruin młyna, z galanterią zasalutował jej szpadą, wołając:

– Zwycięstwo! Zwycięstwo!